ECHO Z AFRYKI.

Maj 1901. Rok IX. Nr 5.

Królowo Niebios Maryo, módl się za nieszczęśliwymi Murzynami!



Aby się stali godnymi obietnic Chrystusowych!

Błogosławione przez Jego Świątobliwość Papieża Leona XIII.

Katolickie miesięczne pismo dla popierania dzieła misyjnego wychodzi w polskim, niemieckim, włoskim, francuskim i czeskim języku. Cena rocznie z pocztą dla Austryi 1 korona 20 halerzy; dla Niemiec 1 mk. 20 fen.; dla krajów związku pocztowego 2 fr. 50 cent.; dla Rosyi 1 rsb.
Adres dla przesyłania prenumeraty i ofiar: Kraków, Starowiślna, Nr 3.

„Stella matutina!“

Tysiące głosów wznosi się obecnie z całego ziemi okręgu, rozbrzmiewając chwałę Królowej Niebios. Ileż wspaniałych wezwań łączy się z imieniem Maryi wszędzie, gdzie to imię jest głoszone! Ale bo też Ona jest Matką nas wszystkich, naszym wzorem, naszą radością i pociechą we wszystkich życia chwilach. Od Niej *„Matki Odkupiciela,“ „Matki łaski Bożej“* możemy i powinniśmy wszystkiego się spodziewać. Któż kiedykolwiek wzywał napróżno Ją, *Pannę możną, łaskawą, wierną? „Salus infirmorum!“* woła ze swego łoża boleści z ufnością chory. *„Consolatrix afflictorum! Regina martyrum!“* wyrywa się z niejednej zranionej, bólem przeszytej duszy. Nawet najniżej upadły, najnędzniejszy grzesznik znajdzie przy Niej, *„Ucieczce grzeszników“* zbawienie i ratunek; Marya zaś jako *„Królowa dziewic,“ „Królowa apostołów,“* szczególnie niejednej wybranej duszy jest drogą. A któżby nie chciał uciekać się we wszystkich troskach pod opiekę *„Królowej Różańca świętego?“*

Lecz czemże jest Marya dla dusz dotąd w najgłębszych ciemnościach pogaństwa pogrążonych?

Może niejeden z nas wie z doświadczenia, jak wielkiej ulgi doznaje serce, gdy po bezsennej w wielkich cierpieniach przebytej nocy, nareszcie... nareszcie... świtać zacznie!... Jakież muszą być uczucia nieszczęśliwych potomków Chama, gdy wśród strasznych duchowych ciemności od wieków nad niemi rozpostartych i wszelką gaszących nadzieję, ujrzą, wywołany słowami misyonarza, promienny obraz Maryi? Tak, Marya jest *„Gwiazdą zaranną“*, ***„Stella matutina“*** szczególnie tych najbiedniejszych wśród biednych.

Obyśmy, dobrzy chrześcijanie, którzy nawet umysłem objąć nie możemy tego strasznego nieszczęścia, jakiem jest nieznanie Jezusa i Jego Błogosławionej Matki, obyśmy często, bardzo często do Maryi za temi tak bezmiernie nieszczęśliwemi duszami gorąco się wstawiali. *„Stella matutina, ora pro eis!“*

Ale nie dość na tem!

Piękny maj okrył znów ziemię zielenią i kwiatami. Przyroda cała zdaje się składać nieprzebrane skarby u stóp swej Królowej. Czyżby ludzie mieli odmówić Matce Bożej drobnej ofiary? A cóż może być milszem Maryi nad *dusze!* nad dusze, zdala od Jej Syna w pogaństwie pogrążone, które, dzięki naszej pomocy, Ją jako ***„Gwiazdę zaranną“*** pozdrawiać i czcićby mogły!

SODALICYA Św. PIOTRA KLAWERA,

PRZEZ

Dra HUGONA MIONI.

2. Misye w Afryce.

(Ciąg dalszy).

Powtóre: Afryka najwięcej zostawia do życzenia pod względem obyczajów, najbardzidj pierwotną jest z pogańskich krain. W innych krajach zdala od Chrystusa pozostających, znajdujemy pozory cywilizacyi przynajmniej, trochę wyższy stopień jakiejś kultury; a jeżeli ta porównania z chrześcijańską nie wytrzymuje, wznosi przecież człowieka ponad dzikie zwierzę: Afryka najmniejszego śladu cywilizacyi nie posiada. Tu panuje ludożerstwo, rozwiązłość, najdzikszy zabobon, niczem nieograniczona tyrania. Człowiek w Afryce pod względem obyczajów ze zwierzęciem rywalizuje, a nieraz jest dzikszym od zwierzęcia, bo to ostatnie uznaje przecież jakieś rodzinne więzy, do pana i dobroczyńcy swego łgnie instynktowo: murzyn, po większej części, o tem, co miłość, wdzięczność, lub przywiązanie znaczy, pojęcia nie ma.

Po trzecie: jeżeli inne pogańskie kraje w więzach bałwochwalstwa pozostają: na Afryce oprócz pęt duchownych ciążą kajdany hańbiącego niewolnictwa. Murzyni afrykańscy w znacznej części są niewolnikami, na których urządza się dosłowne polowanie. W oczach łowcy murzyn jest zwierzyną, a tę się ściga i dosięga. Cóż może takiego myśliwego obchodzić, że na tem polowaniu setki ludzi giną, że dla zdobycia jednego niewolnika, czterech lub pięciu jego współbraci życia zostanie pozbawionych! Łowca niewolników, zwykle mahometanin, wszystkich innowierców za psy uważa. A gdy już ta szczególna zwierzyna, ta czarna kość słoniowa, zdobytą zostanie, wielkie takowej karawany na targ są pędzone. Podczas męczącej, pełnej niebezpieczeństw podróży, padają setki niewolników; to też drogi, któremi karawana przeszła, usłane są bielejącymi już zdala ludzkimi skielatami. Na targach ten towar tak niezwykły podlega ocenie, zostaje podwyższany i obniżany: aż najwięcej dający go nabędzie, otrzymując za lichy pieniądz prawo życia i śmierci nad człowiekiem, z którym może czynić, *co chce:* bić, kaleczyć, zabić nawet! Niewolnik jest jego własnością.

W strasznem zaiste położeniu znajduje się Afryka. Gdyby kto chciał przejrzeć z ubiegłych lat „Echo z Afryki“ lub „Małą Bibliotekę afrykańską“ *), przekonałby się o okropnym stanie rzeczy. Przekleństwo starego patryarchy Noego cięży zawsze na tej ciemnej części świata i nieszczęśni potomkowie Chama pokutują za winę obciążonego niem przodka. W ostatnich latach wprawdzie, dzięki energicznemu wystąpieniu rządów europejskich, zaprzestano handlu niewolnikami na rynkach publicznych; potajemnie wszakże niecna sprzedaż ludzi trwą w całej swej ohydzie. Nadto, w całej Afryce panuje niewola domowa, będąca niejako drugą naturą murzyna i mogąca być wytępioną wówczas tylko, gdy obyczaje jego ulegną zupełnemu przekształceniu. To położenie Afryki wzruszyło serca sług Bożych. W zwartych szeregach podążyli misyonarze i misyonarki na czarny kontynent dla zerwania podwójnych pęt, jakie go wiążą.

Bóg-Człowiek wylał swą krew i za Afrykę także, uświęcając ją tym sposobem. Wybrał On nawet Afrykę za chwilowe schronienie, gdy przed Herodem uciekać musiał. Jeżeli więc nie chcemy, by krew Boga napróżno była przelaną: musimy nieszczęsną część świata przekleństwu na niej ciążącemu wydrzeć i do uczestnictwa w błogosławieństwie jedynej prawdziwej wiary katolickiej doprowadzić.

Widzimy też działalność misyjną w Afryce wysoko rozwiniętą. Dwadzieścia Zgromadzeń zakonnych, lub kościelnych Kongregacyj pracuje nad nawróceniem tej części świata, która na pięćdziesiąt sześć apostolskich wikaryatów i prefektur została podzieloną.

Misyonarze budują kościoły i kaplice, zakładają szpitale, przytułki dla sierot i szkoły, chrzczą pogan, naukę Krzyża ludowi głoszą, pielęgnują chorych, Sakramentów św. udzielają. Są oni *wszystkiem* dla wszystkich, pełniąc uczynki chrześcijańskiej miłości bliźniego iście po bohatersku. Nie-

*) „Mała Biblioteczka afrykańska“, pisemko ilustrowane dla ludu i młodzieży, wychodzi co 2 miesiące w języku francuskim i niemieckim. Cena wraz z pocztą 80 halerzy rocznie (1 frank).

ma biedy, którejby się nie starali zmniejszyć; niema zła, któremuby zapobiedz nie usiłowali, niema tak wstrętnej choroby, której ofiar pielęgnowaćby nie chcieli; niema tak nieokrzesanego ludu, któremuby swych trudów odmówili. Są to *aniołowie* w ludzkiej postaci! A owoce ich działalności apostolskiej? Zaiste są one wspaniałe! Przenieśmy się myślą do jednej z afrykańskich stacyj misyjnych. Zobaczymy tam najpierw kościołek czysty, skromny wprawdzie, lecz pociągający; jest on zbyt skromny na świątynię Pańską, lecz niemniej kryje, jak tego błysk lampki przed ołtarzem dowodzi, Władcę zastępów anielskich pod postacią chleba. Wszystko tchnie tu miłością i spokojem!

Odwiedźmy teraz szkołę. Gromadka czarnych dzieci czysto ubranych, o kręconych włosach, pełnych twarzyczkach, wystającej wardze i oczach błyszczących, słucha uważnie nauki przez Siostrę misyonarkę udzielanej. Dzieci te były przedtem nędznymi niewolnikami, których jak bydło na targ pędzono, lub też znaleziono je opuszczone pod płotem, czy na ulicy przez własnych rodziców. Gdyby nie misyonarze, prowadziłyby one dalej życie niewolnicze, albo marnieby zginęły. Wiele wśród nich było złych, nieokrzesanych, brudnych, opuszczonych, jak tyle im podobnych we wsiach murzyńskich się znajduje, dziś są one szczęśliwe, prawdziwą miłością macierzyńską otoczone. Coraz bardziej przejawia się w nich zamiłowanie porządku, pracowitość i cnota. Tego dokonali misyonarze.

Jeszcze jeden rzut oka na szpital. Nie przerażmy się!... Choroby tu goszczące są wstrętnej natury, a przedewszystkiem straszny widok przedstawia trąd; na obliczach chorych wszakże odbija się rezygnacya i zadowolenie. Pogaństwo w swem okrucieństwie wygnało te biedne istoty z domu rodzinnego i ojczystej ziemi; miłość bliźniego w wierze katolickiej praktykowana, wyprowadziła missyonarzy i misyonarki również z ojczyzny, przywiodła do kraju obcego, by tym opuszczonym ludziom opiekę i dach zapewnić. Cicho krąży Siostra zakonna wśród czystej, świeżemu powietrzu dostępnej przestrzeni, i niejeden zaćmiony umysł, niejedno serce zatwardziałe zwraca się ku światłu wiary tą miłością zaparcia się siebie pełną zdobyte.

A jakże szczęśliwi są murzyni chrześcijanie w kole domowem, przy uprawie pól swoich! Jak pobożni są oni, jak pokorni, jak drżący o utratę niewinności na Chrzcie św. otrzymanej! Niektórzy pojąć nie są zdolni, jakim sposobem człowiek ochrzczony może jeszcze grzech popełnić. Gdy się na taką wieś chrześcijańską patrzy, zdaje się, że czasy apostolskie, czasy pierwszego chrześcijaństwa wróciły. Misyonarze cudów dokazują z Afryki mieszkańcami. O wiele, o wiele więcej wszakże uczynićby mogli, gdybyśmy zechcieli im dopomódz.

(C. d. n.).

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE Z MISYJ.

Misya Palottynów w Kamerunie.

NASZE DZIECI.

Gawędka Siostry Moniki. *)

Dziś pragnę z miłymi czytelnikami „Echa“ trochę o naszych czarnych dzieciach pogwarzyć dla zmniejszenia mej do nich tęsknoty. Wszak „co w sercu, to i na ustach.“ Oby tylko kochani Czytelnicy, którzy zapewne bez wyjątku przyjaciółmi są dzieci, nietylko przychylili mi chętnie ucha, ale otworzyć zechcieli wspaniałomyślnie serce i... portmonetkę, a wtedybyśmy dużo tych czarnych duszyczek do Boskiego Przyjaciela dziatek wspólnemi siłami doprowadzić mogli.

Oczywiście radabym tylko mówić o dobrej stronie, gdyż o przykrych mych doświadczeniach myślę niechętnie, ale nie chcę o upiększenie być posądzoną, i zresztą dobroczyńcy nasi mają prawo wejrzeć w życie dzieci, które wychowujemy i o rzeczywistości się dowiedzieć. Nie sądzę, by to, ich zainteresowanie się czarnymi, osłabić miało. Żaden chyba rozsądny człowiek nie przypuszcza, by odziedziczone w ciągu tysięcy lat złe skłonności i nałogi, odrazu wskutek przyjęcia dziecka do misyi wykorzenione zostały. I w ogrodzie łaski, jak i w ogrodzie przyrody, drzewa jednego dnia nie wzrastają; ten zaś, co je sadzi, widzi rzadko owoce już dojrzałe i rzadko takowych kosztuje. Nadziei i cierpliwości tracić nie powinien ani misyonarz, ani dobroczyńca, gdyż inaczej nie będą podobni do Dobrego Pasterza ścigającego owieczkę zgubioną tak długo, aż ją znajdzie. Dzieci nasze mają wszystkie dobrą wolę, a powiedziano: „Pokój ludziom dobrej woli.“

Ponieważ czas mój ściśle jest wymierzony, opowiadać będę, co mi przez myśl przejdzie. Wszak nie zamierzam przekazywać potomności wielkich wypadków, ani bohaterskich czynów; sprawozdanie moje tylko do tytułu gawędki rości prawo, nie wymaga przeto ani uwag głębokich, ani pięknych frazesów.

Otwarcie misyi Sióstr w Edei nie budziło we mnie szczególnych oczekiwań. Mieszkańcy Edei uważani są przez ludzi wybrzeża zamieszkujących za „Buszniggerów“, które to słowo w ich ustach najwyższy stopień wzgardy oznacza. W samym nawet Marienbergu, Tokotown, które do jednego i tegoż samego szczepu Bakoko należy, drwią, z przekonaniem o swej wyższości, z niemądrych mieszkańców Edei. Pomimo to, a może właśnie dlatego uważają ci ostatni za wyświadczenie nam wielkiej łaski i zaszczytu, dzieci swe na wychowanie nam oddając, co bardzo często

*) Siostra Monika znajduje się obecnie dla wzmocnienia zdrowia w domu misyjnym Sióstr w Limburgu.

*

dzieje się pod naciskiem władz, a nie z dobrej ich woli. To, czego Siostrom prośbą, groźbą, wywijaniem rąk i krzykiem się odmawia, to jest oddania do misyi ochrzczonych dzieci na wychowanie i naukę -- zostaje uzyskane za pośrednictwem małej drukowanej kartki od pana wielkorządcy lub policmajstra, którzy nas wiernie w tym względzie popierają. Karteczka zawiera pozew; obawa zaś wszechpotężnych władców jest tak wielka, że co najprędzej dzieci zostają do misyi przyprowadzone, a w dniu oznaczonym pan policmajster odbiera najpokorniejsze zawiadomienie, że obowiązek przed otrzymaniem pozwu jeszcze, dobrowolnie został spełniony.

Tak zebrałyśmy gromadkę z dwudziestu trojga dzieci złożoną, a która liczniejszą byćby mogła, gdyby czcigodny O. Prefekt nie wyrzekł kategorycznego: „dotąd, a nie dalej!“ Biedny O. Prefekt musi nietylko z gorliwością swą o zbawienie dusz się liczyć, lecz rachować się także z rzeczą czysto materyalnej natury, a mianowicie z workiem, który wobec domagań się krzyczących i skarżących się żołądków dziecięcych podobny jest do suchotnika, ostatnie wydać mającego tchnienie.

Środków zaradczych na tę chorobę znalazłoby się w Europie dosyć, ale ci, co nimi rozporządzają, decydują się z trudnością na dostarczenie ich oddalonym braciom. Tymczasem wyszedł rozkaz od prefektury tyle tylko dzieci przyjmować, ile ich wyżywić można z uprawy makabo i t. d. Jest to bardzo mądre i praktyczne. Gdybyż nie istniało żadne „ale“!

Najprzód weźmy pod kredkę, ile dwadzieścia trzy żołądki murzyńskie w ciągu 365 dni trzy razy dziennie posiłek przyjmujące, przy bardzo dobrym apetycie, pochłonąć mogą. Potem obliczmy siły naszych małych do pracy zużytkować się dające. Dwanaścioro ma od lat czterech do ośmiu, siedmioro — od dziesięciu do trzynastu, cztery są tylko prawie dorosłe dzieweczki, które już wszakże, z wyjątkiem jednej, obecnie powychodziły za mąż. Od tych sił, a raczej pół sił i słabości, odtrącić należy tych, co ciężkie rany na nogach i całem ciele mają i wskutek tego do pracy są niezdolni. Takich zwykle nie braknie.

Prowadząc rachunek dalej, nadmienię, że potrzebujemy kilku do pomocy w utrzymaniu domu. Trzy dziewczynki, poza godzinami nauki, zbierają codziennie w lesie dla siebie i dla nas drzewo do kuchni. Dwie w tejże kuchni zajęte przygotowywaniem posiłku dla siebie i swych koleżanek, a samo oczyszczanie makabo tyle czasu zabiera, że zostaje jakie pół godziny na inną pracę zaledwie. Dwie inne gotują dla Sióstr, co z myciem i porządkowaniem więcej niż dosyć dostarczą im roboty, gdyż cztery godziny dziennie w szkole spędzają.

Oprócz tego jest duży ogród warzywny do utrzymywania. W czasie suszy pochłania on 60 wiader wody, która z dosyć stromego pagórka z 10 minut musi być niesioną. Co tydzień zaś ma miejsce pranie i prasowanie. A teraz odejmijmy ogólną sumę i przekonajmy się, ile pola mogą pozostałe uprawić. Przytem nie zapominajmy, że nie mamy przed sobą pięknego kawałka ziemi rolnej, ale odwieczny las, lub gęste krzaki. Oczywiście chłopcy są posyłani dla przetrzebienia i wypalenia gęstwiny, w czem im silne ramiona i ostre noże wielką są pomocą. Potem jednak idą dziewczęta kopać, korzenie usuwać, grudki ziemi rozbijać i sadzić.

Utrzymanie pola w porządku wymaga też czasu i pracy; po ośmiu zaś miesiącach zaledwie następują zbiory. I każdego roku nowe pole uprawianem być musi! Jakże długo czekać trzeba, by tyle posadzić, żeby to nam dzieci wyżywić pozwoliło? Odpowiedź i obrachunek pozostawiam rozsądkowi i wspaniałomyślności naszych czytelników; sama nad tem dłużej nie będę się zastanawiała, gdyż na myśl tę zawsze serce mię boli.

Z Engelberga, z obrębu Rio del Rey, miałyśmy dziewięć dziewczynek Zangilezek. Pierwsza wprędce na suchoty umarła; przyjęła jednak jeszcze Chrzest św., potem do nieba ulatując, by tam być pierwszą ofiarą i orędowniczką, dojrzenie dla szkółki naszej wyjednać mającą. Pozostałych ośm, dobrodusznych i już nieco ogłodzonych dziewcząt, utworzyło dobrą do dalszej działalności podstawę. Gdybyśmy pierwej wzięły dzieci z Edei, Zangilezki żleby na tem wyszły, bo już w dzieciach dostrzega się nieprzyjaźń i urazę, jakie jedne szczepy żywią względem drugich, mieszkańcy zaś Edei odznaczają się zarozumiałością i zuchwalstwem. Ponieważ jednak Zangilezki nabyły już w misyi prawa obywatelstwa, nie narażali się im nowoprzybyli, których tamte ze swej strony z taką przyjmowały radością i serdecznością, że najzupełniej ich tem podbiły, zmuszając do poddania się bez zastrzeżeń swemu kierownictwu. Miłość i troskliwość, z jaką zajmowały się one nowoprzybyłemi, skłoniły mię do dania każdemu z nowicyuszów jednej z Zangilezek za opiekunkę czyli mateczkę, a to — żeby wzajemne podtrzymywać przywiązanie. Pomysł ten nietylko nam, dwóm tu zakonnicom, pracę ułatwiał, ale też otwierał źródło prawdziwej radości. Wszystkie niemal spełniały swój urząd nietylko troskliwie i sumiennie, ale z poddaniem się i duchem ofiary, godnemi w czarnych podziwienia.

Wprowadzały one swych wychowańców, którym wszystko prędzej niż uzdolnienie przypisać można, w tajemniczy świat abecadła; kierowały ich ręką przy kreśleniu pierwszych piśmiennych znaków; uczyły, w chwilach wolnych, pierwszych modlitw i przykazań Boskich; przyzwyczajały do przykładnego zachowania się w kościele, czujny w domu Bożym nad niemi rozciągając nadzór; dzieliły z niemi swe posłanie z desek łóżka złożone i kołdry, jeżeli tej ostatniej mogłyśmy im dostarczyć (zapas nasz, niestety, bardzo niedostateczny); prały we środę po obiedzie ich ubrania i pielęgnowały w chorobie.

Buma, będąca dumą moją i faworytką, przewyższała wszystkie, prześcignąć się nie dając. Powierzono jej słabą, chorowitą, przybraną córeczkę. Ale pomimo to, że jako nasza mała kucharka dużo miała roboty; że przykładając do wszystkiego dobrowolnie ręki, wieczorem bardzo była zmęczoną: nie uchyliła się nigdy od pielęgnowania chorego dziecka, od przyrządzania mu herbaty i siedzania przy niem w nocy, od opatrywania ran zrana, od bronienia go od owadów i noszenia na plecach do kościoła. Gdyby nie dwunastoletnia nasza Buma: nie wiem, jakbyśmy podołały wszystkiemu.

(Dok. nast.).

BARBARZYŃSKIE OBYCZAJE.

(Niger. Alla.)

Historya misyi naszej w ciągu krótkiego swego istnienia, posiada już karty zajmujące, co nam pozwala żywić słuszne względem jej przyszłości nadzieje. Lecz najczęściej wśród cierni i kolców zrywamy pierwsze Bogu w ofierze złożone kwiaty.

Niezbyt dawno słaby jęk i łkania małej dzieciny oznajmiły nam, iż chata sąsiednia o jedną małą istotkę więcej liczy. Może jest tam dusza do zbawienia, aniołek dla nieba do pozyskania?... Z pierwszej chwili wolnej korzystamy z Siostrą Urbaną, by udać się w tę stronę. Ale czyżby zaszła omyłka? Nic w chacie obecności małej nie zdradza istotki, której krzyk nas tu sprowadził, nic nie świadczy o przyjściu na świat dziecka; przeciwnie, na twarzach smutek i przygnębienie. „Ndo (dzień dobry), kochane moje, cóż tu zaszło nowego?“ — mówię wchodząc, ale przyjazne to powitanie, za całą odpowiedź otrzymało westchnienie starej murzynki i potok łez młodej kobiety, ukrytej w najciemniejszym kącie chaty. Napróżno usiłuję przyczynę smutku zbadać, widzę to tylko, że rodzinę jakieś dotknęło nieszczęście. Lecz jakie? „Boże — błagam w duchu — jeżeli mogę tu co dobrego uczynić, zechciej mi dopomódz.“ Krótka ta modlitwa została wysłuchaną. Wśród przerywanych i niezrozumiałych wyrazów przez starą wymawianych murzynkę — uderzyły mię następujące: „*Jest dwoje bliźniąt!*“

Otóż w podobnym wypadku zwyczaj barbarzyński wymaga, by obie małe istotki zostały żywcem pogrzebane w garnku żwirem napełnionym, a następnie rzucone w krzaki.

Niema czasu do stracenia, pomyślałam. Zwiedziwszy uważnie wzrokiem wszystkie zakątki chaty i przekonawszy się, że biedne stworzenia nie są ukryte ani w tykwie, ani w stosie gałganów, opuściłam mych gospodarzy, by jak najspieszniej przywołać pomoc. Dwaj życzliwi nam chrześcijanie idą na poszukiwania niezwłocznie. W pół godziny są już z powrotem, kryjąc starannie drogocenny ciężar. Po raz to pierwszy Siostra Urbana była świadkiem rozdzierającego widoku, jaki miał się oczom naszym przedstawić. Z pośpiechem pełnym trwogi, bierzemy się do dzieła. Stary garnek zdaje się zawierać tylko kamyki i liście. Niepokój nasz wzrasta z każdą chwilą. Aż oto członeczek okaleczony się pokazuje. Podwajamy ostrożność wydobywając biedne małe ciałko. Dzięki Bogu!... Żyje jeszcze!... Ale w jakim stanie!... Nie znalazłabym słów na opisanie tego. Natychmiast zostaje ochrzczony, otrzymując imię „Marcin“ i otoczony troskliwością. Jednocześnie poszukiwania w starym garnku dalej się prowadzą; ale pełno tu tylko fetyszy, gałęzi, kawałków drzewa... Wreszcie wysuwa się mała nóżka, lecz... już zlodowaciała Niestety! nieszczęśliwsza od swego małego brata, biedna dziewczynka zakończyła życie. Włożono ją główką na dół i piasek ją udusił.

Mały Marcinek żył jeszcze miesiąc, potem zamienił ziemię, na której tyle wycierpiał, na niebo go oczekujące.

W ośm dni później, powtórzyła się ta sama scena. Gorliwy nasz katecheta przybiega, niosąc w ukryciu drugi pamiętny garnek, który mu się znaleźć udało.

Nowe poszukiwania, i tym razem skutek takowych pomyślniejszy. Obie małe istotki żyją jeszcze i wraz z odradzającym wpływem wody Chrztu św., dziewczynka otrzymuje imię „Agnieszki", a mały jej braciszek „Antoniego." Starania nasze jednak nie mogły ich na ziemi zatrzymać: we trzy już tygodnie rozwinęły te aniołki skrydła do lotu, wznosząc się do nieba, by tam — słodką mam nadzieję — modlić się za kraj swój nieszczęśliwy i za misyą, której zbawienie zawdzięczają.

Dzisiejszego poranku jeden z Ojców misyonarzy, przechodząc koło gęstwiny, w którą biedne bliźnięta wrzucone zostają, słaby jęk usłyszał. Zwraca się zaraz w stronę, skąd ta żałośna wychodziła skarga, i widzi nieszczęśliwe ofiary. Jedno z dwojga dzieci było już nieżywe; główkę miało roztrzaskaną uderzeniem, wymierzonem przez jakąś brutalną zapewne rękę, drugie — konało. Ojciec misyonarz zdążył je ochrzcić, a po chwili niebo o jednego aniołka liczyło więcej.

Czcigodna Matka widzi, że mamy słuszność, mówiąc: iż u nas ciernie i kolce rodzą prześliczne kwiaty. Te ostatnie zrywamy niekiedy za pomocą niewinnych nie pozbawionych oryginalności podstępów. I tak, wchodząc wczoraj do jednej chaty, ujrzałam małe dziecko ciężko chore. Gorące pragnienie ratowania tej duszyczki przyspieszyło mi bicie serca. Żeby nie wzbudzić jednak podejrzeń, zawiązałam rozmowę z gospodarzami, winszując im kur i kóz żyjących w ich towarzystwie; potem, dla sprawienia im przyjemności, wyjmuję zegarek i zachęcam, by zbliżyli takowy do ucha. Obecny temu tęgi mężczyzna zdobył się na odwagę uczynienia życzeniu memu zadość. Przysłuchuje się... strach go ogarnia.

— To coś mówi — oznajmia on otoczeniu — i mówi słowa, których nie rozumiem.

A tamci odpowiadają:

— Miej się na baczności! To duch.

I wszyscy zaczynają mię błagać, bym co najprędzej włożyła do kieszeni ten przedmiot tajemniczy. Podczas gdy obecni rozstrząsają tę tak dziwną kwestyę, Boska sprawa się dokonywa, i dziecko może bezkarnie odejść do nieba.

Miałabym wiele jeszcze rysów pocieszających do opowiedzenia Czcigodnej Matce, lecz zostawiam to na przyszłość. Dziś proszę mi tylko zezwolić, na zakończenie, uczynienia Czcigodnej Matki świadkiem Chrztu św. młodego neofity, który z powodu kalectwa, w przytułku naszym jest pomieszczony. Co za wiara!... co za żarliwość!...

— Czy wyrzekasz się fetyszy? — zapytuje misyonarz.

Murzyn, zdumiony że mu podobne zadają pytanie, wyprostowuje się, o ile mu ułomności na to pozwalają, patrzy prosto w oczy kapłanowi i chrzestnemu swemu ojcu, potem, krzyżując ręce na piersiach, odzywa się donośnym i pełnym oburzenia głosem:

— Ja i fetysze! Ja mam jeszcze mieć coś z fetyszami wspólnego! O co mię Ojciec pyta? Ojciec wie przecie, że ich już nie posiadam!...

I kapłan musiał go uspokoić, zanim wodą Chrztu św. połał.

Liczymy na to, że nasz nowoochrzczony zostanie niewzruszonym w swych postanowieniach, stając się w Alli wzorem tych, co się nawrócą do Jezusa Chrystusa.

Siostra Pia, zakonnica misyonarka.

Zkąd przybywają wszyscy niewolnicy do Zambezu?

Jak wiadomo, panuje w całym portugalskim Zambezie od Quilimanu aż do Zumbo, tak zwane domowe niewolnictwo. Pomiędzy dziesięcioma murzynami znajduje się jeden zupełnie wolny; inni są niewolnikami, to jest poddanymi. Czasami jest ich stanowisko znośne, czasami nawet dobre, i zdawałoby się, że są zadowoleni; jednak są oni zawsze niewolnikami bez prawa, bez posiadłości i dzieci ich mogą być sprzedane, albo darowane, matce zaś nie wolno przeciw temu zaprotestować. Gdyby nawet te stosunki były najidealniejsze, pozostają ci biedni zawsze niewolnikami. Wyrośli bez ojca i matki, są prawie nieczuli na los swój. Kilka razy zdarzyło się, że wolny chłopak wraz z niewolniczemi dziećmi nie chciał razem na naukę religijną uczęszczać; wolni nie chcą nawet, aby niewolnicy wogóle naukę jakąkolwiek posiadali, tylko aby pozostali na najniższej stopie kultury, niewolno im zostać chrześcijanami jak ich panowie i mają pozostać zawsze wzgardzonymi niewolnikami.

Lecz zkąd przybywają oni wszyscy?

Manika jestto niby kopalnia niewolników. Manika jest częścią południową centralnej Afryki, gdzie jeszcze wszystko w prastarym stanie się znajduje, i tylko na mapie przez Anglików wydaje się być zajętą. Jej zbliżające granice są na wschodzie rzeki Ruanga, na zachodzie Lundareich, zaś na północ źródła w Congo i w państwie Congo, w południowym Zambezie i Cafuque. Tutaj panują jeszcze czarni zwierzchnicy w całej pełni swej potęgi, jako prawdziwi tyrani, wspierani przez kilku, na wpół dzikich czarnych, niekiedy także przez, niegodnych noszenia nazwiska ludzi, białych.

Pośród tych ostatnich są dwie klasy handlarzy ludzkich, a w pierwszym rzędzie mahometańscy handlarze, którzy ze Wschodu tutaj przybywają, i całe legiony kobiet, dzieci i niewolników posiadają. Przeważnie są dobrze przez hersztów widziani, bo wykupują wszystkich niewolników i do dalszego ich rozsprzedania dla Zambezów, aż do Tete i Senny sprowadzają. Częściowo prowadzą wojnę, aby tani towar nabyć.

Drugą klasą niewolniczych handlarzy, są karawany arabskich handlarzy, którzy z państwa Congo przybywają. Oni transportują swoich niewolników do państwa Congo, gdzie potem pozostają.

A teraz ma być dana odpowiedź na zapytanie, zkąd przychodzą niewolnicy do tego kraju.

Odpowiedź: Herzści są jedynymi, którzy wydają wyroki. Np. kto z cudzego pola kukurudzę kradnie, jest zgubionym — za karę zostanie mu syn skradzionym; gdy nieposiada takowego, to mu żonę zabiorą — jest kawalerem, to sam przechodzi do niewolnictwa i przy najbliższej sposobności zostanie sprzedanym.

Gdy idzie dziewczyna do rzeki po wodę i rozbije dzbanek, jest wtedy niewolnictwo jej karą — ucieknie, to spotyka matkę, ojca i brata jej przynależny los.

Przyjdzie np. ktoś w odwiedziny i przyniesie z sobą swój dziryt i oprze takowy o ścianę; gdy go ktoś przypadkowo poruszy, lub co gorzej, przewróci -- to pozbawia wykonawcę wolności.

Jeszcze jeden przykład. Pewien murzyn przyszedł do sąsiedniej wsi na kawę; wieczorem zaś powrócił do domu, pozostawił jednak w kawiarni umyślnie czy też przez zapomnienienie swój dziryt. Po jego odejściu, gospodarz kawiarni spostrzegł pozostawiony dziryt i zabrał takowy. Na drugi dzień przyszedł murzyn po zostawioną broń, lecz nie zastał jej na swem miejscu. Wtedy kazał pierwszego lepszego człowieka związać i wziął go z sobą za swego niewolnika. Przybyła zrozpaczona żona nieszczęśliwego, prosiła i błagała, lecz nadaremnie — i ona została związaną i tak oboje zostali niewolnikami.

Przed kilku laty, pewien portugalski kupiec był świadkiem okropnej sceny. Widział ludzi bez uszu, bez nosa i bez ręki, jednemu murzynowi odrąbali nawet obie ręce z tego powodu, że ukradł masło.

Niekiedy i teraz jeszcze zdarzają się takie wypadki. To jest historya domowych niewolników w Zambezie. Handel jest źródłem złego; handlarze w zastępstwie mahometanów są winowajcami wszystkiego.

X. Dialer S. J.

ODCINEK.

PARTYA NTYONGE.

Przez O. Trilles.

Oto jak się rzecz miała, gdym się tak naiwnie dał złapać przy grze *Ntyonge* *).

Byłem młodym, niedoświadczonym misyonarzem, wyszedłem dopiero z nowicyatu, gdy w piękny dzień słoneczny wypadło mi przedsięwziąć po ziemi afrykańskiej wędrówkę. Płonąłem gorliwością... marzyłem o nawróceniu całych plemion murzyńskich....

*) *Ntyonge* jest ulubioną grą niektórych szczepów murzyńskich, i daje się porównać z grą w szachy, lub warcaby.

I właśnie staję przed wioską murzynów pogan. Uprzejme przyjęcie, serdeczna gościnność, ożywiona rozmowa — wszystko było zachęcające. Ojciec Trilles – uszczęśliwiony.

— Partyjka *ntyonge,* minisse?

— Ale najchętniej, dla sprawienia wam przyjemności.

O jakimże byłem cielęciem!...

A tymczasem gromadzi się dokoła trzydziestu, czterdziestu, pięćdziesięciu ciekawych, którzy mi się przypatrują, łokciami się trącają, śmieją się. Wprędce zostałem w grze pobity... i jeszcze raz zwyciężony; pomimo to dotrzymuję placu z pewną miną, sądząc dobrodusznie, że na najlepszej jestem drodze. Powoli do kwestyi religii chcę przystąpić. Ale cóż się dzieje? Wszyscy w śmiech, w głośny, przeciągły śmiech... Porażka najzupełniejsza!

— I jakże chcesz, byśmy twej przemowy słuchali — odzywa się ironicznie jeden starzec, jesteś tak ograniczony, że dziecko cię w *ntyonge* pobije.

I cóż potem? Potem!... poznałem, zgłębiłem, przeniknąłem wszystkie tajniki gry *ntyonge.* A teraz, gdy ich pobiję, nastraszę, zwiodę, umyślnie w zakłopotanie wprowadzę, odzywam się do starych najspokojniej:

— Moi przyjaciele, pojęcia o grze nie macie! lepiej ją zostawmy, a pomówmy o czem innem.

Wówczas kiwają starcy głową i mówią z cicha, albo nawet i głośno:

— To prawda! on sprytniejszy, niż my. Lepiej jego posłuchajmy.

I słuchają...

A ja, jako szczęśliwy gracz, po jednej partyi ntyonge... wygrywam *duszę nieśmiertelną.*

Treść piątego (majowego) numeru: „Stella matutina.“ — Sodalicya Św. Piotra Klawera, Stowarzyszenie Propagandy dla misyj afrykańskich, przez Dra H. Mioni. (Ciąg dalszy). — Wiadomości bieżące z misyj: Misya Pallotynów w Kamerunie. — Barbarzyńskie obyczaje. — Zkąd przybywają wszyscy niewolnicy do Zambezu? Odcinek: Partya ntyonge, przez O. Trilles.

Wykaz datków znajduje się na 2. stronie okładki.

Zamknięcie redakcyi 19. kwietnia 1901.

Za wydawnictwo i redakcyę odpowiedzialny: Wojciech Adamski.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarządem J. Łakocińskiego.